

Lidia Amejko

SILESIA, SILENTIA

(Zupełna ciemność na scenie i na widowni. W ciemności rozlegają się szepty)

:Nasz widelce mają się lepiej od nas. Nasze zęby, nasze domy.

:Myślisz, że się uda?

: Dafnis się udało.

: Jak bardzo trzeba uciekać, żeby drzewo wpuściło cię do środka ?

: Nie nazywaj tego ucieczką! Trzeba tylko przekroczyć granicę. Odepchnąć swój los!

: I będziemy ocaleni?

: Jasne! Kiedyś chłopcy gonili mnie na ulicy i rzucali za mną kamieniami - a ja ubrałem się w przejeżdżający samochód, wielkiego warczącego packarda...

: jak Honoriuesz Subrac?

: Mhm! I oni nagle przestali mnie widzieć.

: Wiem. Kiedy ja budziłam się w nocy przerażona ukrywałam się w liściach.

Byłam liściem na tapecie w moim pokoju, i zło nie mogło mnie zobaczyć!

: Ulga- materia.

: Życie bez tego kto żyje.

:Kierkegard chciał być srebrnym widelczykiem.

: Myślisz, że jego marzenie się spełniło?

: Widziałem taki widelczyk u mojej ciotki, nie pasował do kompletu – to mógł być on!

(Chichot)

: Lepiej nie rzucać się w oczy. Chciałbym być guzikiem. Nic nie znaczyć, być prawie niewidzialnym, zgubić się w szparze podłogi, tak żeby mnie nikt nie znalazł. A ty?

: Chciałbym być kwartetem, może kwartetem Haydna? Byłbym niewidzialny! Nie mogli by mnie złapać, tylko płynąłbym w powietrzu .

: A ty?

: Pamiętasz jak Trinkulo wpełzł pod gabardynę Kalibana.

: Pamiętam. „Burza nadchodzi! Nie ma tu innego schronienia“.

: Zawsze śmialiśmy się z tego! Ja... chciałabym być czarnym gabardynowym płaszczem.

(Szepty na chwilę milkną)

: Rzeczy nas ocalą?

: Ulga- materia!

: Łza bez oka.

: Życie bez tego, kto żyje.

: Opowieść bez opowiadającego.

(Sklep bławatny. Asortyment w doskonałym gatunku nudzi się na półkach.

Coś skulonego leży na ladzie. To Płaszcz, główny bohater tej sztuki, w tej chwili jeszcze w formie przed-egzystencjalnej kołysze się na brzegu samego siebie. Subiekt drewnianym metrem dźga zwiniętą materię)

Subiekt: Przestań się kiwać!

Płaszcz: Nie!

Subiekt: Będziesz...

Płaszcz: Nie chcę być!

Subiekt: ...paltotem!

Płaszcz: Dlaczego?

Subiekt: (z namaszczeniem) Gdyż jako paltot osiągniesz szczyt okrojonej egzystencji.

Płaszcz: Ale mój kształt będzie gwałtem na nieskończoności!

Subiekt: Jaki gwałt, taki kształt!

A zresztą, po co od razu mówić o gwałcie? Powiedzmy raczej: dar!

Płaszcz: A nie mógłbym wybrać innego...daru? Chciałbym być ... mostem Brooklyńskim Albo mosiężną trąbką!

Subiekt: To kiedy indziej. A teraz...

No, a teraz skacz! Krok do przodu i...

Płaszcz: Nie! Odmawiam!

Subiekt: Boisz się?

Płaszcz:Boję.

Subiekt: Słuchaj, nie ma się czego bać. Możliwe, że życie nie jest doskonałe.

Możliwe, że ma parę wad - ale wszechświat, który cię stworzył, wynagrodzi cię wyobraźnią. Żebyś sobie radził z drobnymi usterkami. Będziesz mógł wymyślać paradoksy, splatać przeciwieństwa w takie fikuśne skośne prążki! Zaraz, zaraz, jak to szło: moc truchleje, blask ciemnieje, ma granice nieskończony...

I na dodatek: będziesz udawał, że w to wierzysz!

Płaszcz: Nie! Nie dam się nabrać! Zostaję tutaj!

Subiekt: Tutaj? W sklepie? (łagodnie) Poza tym ... jest jeszcze ona.

(Subiekt pokazuje trzy dziewczyny, które siedzą przy stole i przeglądają gazety.

Jedna z nich jest całkiem naga)

Scena 2

Naga: (zrezygnowana) Kocham go, ale nie mam pojęcia jak wygląda. Czasem na ulicy widzę zarys pleców albo talii, ale po sekundzie już wiem, że to nie on!

Przyjaciółka Pierwsza : Miłość, która nie wie, kogo kocha?

Naga: Wymknęła mi się z rąk jak dziecięcy balonik, mogę tylko unieść głowę do góry i patrzeć jak płynie. Jej cień zagarnia wszystko, wypełnia swój pusty kontur wszystkim, co napotka po drodze...i płynie dalej.

(Przyjaciółka Pierwsza unosi gazetę do góry, widać wyraźnie okładkę - to Vogue, sierpień 1939)

Przyjaciółka Pierwsza: Mógłby być: „swobodny, śmiały, prosty“!

(Przyjaciółka Druga bierze inną gazetę, Elegancka Pani, lipiec 1939)

Przyjaciółka Druga: Albo: „zuchwały, pewny siebie, kusicielski“.

Przyjaciółka Pierwsza: I powinien dodać ci „natchnienia i miażdżącej pewności siebie“ (Unosi gazetę: Moja Przyjaciółka, sierpień 1939).

Naga: A ten?

Przyjaciółka Pierwsza: Neeee! Za gruby!

Przyjaciółka Druga: I za szorstki! Nie ułoży wam się.

Przyjaciółka Pierwsza: Będziesz się wstydziła wyjść z nim na ulicę! Podobno Sara związała się z kimś takim, wzięła go ze sobą do Ameryki, a tam wszyscy się z niej śmiali! A co powiesz na tego? (Pokazuje jakieś zdjęcie)

Naga: Nie jest szczególnie męski.

Przyjaciółka Pierwsza: Ale damski też nie! Z wierzchu może trochę szorstki, ale za to miękki w środku.

Przyjaciółka Druga: Połyskujący i matowy zarazem, z obu stron jednakowy, nie ma lewej ani prawej strony... W każdej chwili będziesz mogła go przenicować!

Przyjaciółka Pierwsza: Powierzchnia i głębia są tym samym, nawet pory roku nie zostawiły w jego ciele żadnych wskazówek: ani na lato ani na zimę, ani na nic pomiędzy.

Przyjaciółka Druga: Ponadczasowa czarna gabardyna!

(Naga patrzy na zdjęcie, które pokazuje jej Przyjaciółka Pierwsza)

Naga : „Burza nadchodzi! Nie ma tu innego schronienia“.

Scena 3

(Powrót do lady w sklepie. Subiekt do Płaszcz)

Subiekt: Widzisz, jej balonik zatrzymał się nad tym sklepem i rzucił na ciebie swój cień. Ona czeka na ciebie. I tak bardzo cię pragnie. Musisz zrobić to dla Niej! To jej miłość wycięła cię z nieskończoności, otoczyła swoim konturem, wyłuskała spośród wszystkich przedmiotów na świecie.

Przestań się kiwać, do cholery! I spadaj!

(Płaszcz, ciągle skulony przechyla się przez niewidzialną barierę.)

Scena 4

(Płaszcz spada, a podczas tego spadania wokół Płaszczki wirują fragmenty o niezrozumiałych kształtach. Płaszcz próbuje ich dotknąć, chwycić, przytrzymać, ale one uciekają jak ławica czarnych ryb. Płaszcz chwyta jeden fragment i przygląda mu się z czułością)

Płaszcz: Gdy odchodziłem, ich pożegnalny gest nieruchomiał: odtąd już na zawsze będą obejmować pustkę po mnie. Jestem tym, czego w nich nie ma. Utracony rękaw zostawia po sobie łuk gotyckiego okna. Odejmują mnie sobie i oddają światu. Z tego, co odjęte można zbudować ażurową katedrę.

Czy moje ścinki tęsknią za mną?

Najmniejsze ześlizgują się ze stołu, spadają, nikt ich nie chwyta. Nie warto. Czarny

negatyw leży na podłodze, strzępi się brzeg nieobecności, która jest mną. „Szmu“ - tak ich nazywa Krawiec. Miotłą zmiata resztki pod piec, ładuje na szufelkę i wrzuca do ognia – tam w ogniu znika ostatni dowód, że zostałem wycięty z czegoś większego niż ja sam.

Muszę zadać sobie pytanie: jestem tu, czy raczej odszedłem z tym, co nigdy nie zaistniało? Myślę o skrawkach mnie samego, odciętych i zaginionych.

Czy to dziwne, że... tęsknię za sobą?

Za kształtem, którego nigdy nie poznam. Za wolnością, która była we mnie, a teraz strzępi się na podłodze.

Myśle o niegodziwości wyborów, które jakąś część mnie samego uczyniły nieistotnym, nieważnym.

Utracona reszta wciąż jest przy mnie, otacza mnie, dotyka, zamyka. Nie mogę się od niej uwolnić. Każdej nocy męczą mnie wklęsłe sny.

Scena 5

(Płaszcz miękko ląduje na podłodze. Jest już gotowy, piękny, doskonale skrojony i uszyty. Naga podchodzi do Płaszcz, dotyka go, jego ramion, klap i rękawów)

Naga : Oto jest ten którego szukałam!

(Wsuwa się w Płaszcz , staje przed lustrem. śpiewa i tańczy tango „ Zapnij mnie“)

Naga: „Słońce czarne jak włosieny wór“

pali już ziemię,

mój oddech stanie się twoim oddechem.

zabije w tobie moje serce

będziesz moim cieniem, który nie zniknie

En una noche oscura!

Zapnij mnie,

obejmij moją talię, piersi i biodra

A ja wypełnię kształt odbity w twoim wnętrzu

na obraz i miarę

będziesz moim cieniem, który nie zniknie

En una noche oscura!

(Przyjaciółki klaszczą, Naga zaczyna wirować jak derwisz. Potem powoli zwalnia, otoczenie znika. Jeszcze jeden obrót, zatrzymanie, Płaszcz z czarnej gabardyny odchyła poły, na srebrzystej podszewce migocze jakiś cień, ale Płaszcz jest pusty)

Scena 6

(Wagon towarowy wypełniony Ubraniem. Płaszcz leży na podłodze i razem z innymi kołysze się i podskakuje. Pociąg dudni)

Płaszcz: Garnitury z Londynu, jedwabne bekiesze z Leżajska, kapotek z Wilna, monachijski filcowy zakiet , jesionka ze Skierniewic, redingot z Wąwolnicy. Cała Europa w jednym wagonie. Wydarci z domowej materii niesiemy swoje miasta, małe ojczyzny na watolinie lub bez. Kołnierze stawiamy jak obronne mury, spinamy brzegi stalowymi haftkami, żeby nie zgubić tego, co utracone. Otul się mocniej -

zatrząskujemy poły! Szwy połyskują światłami gazowych latarni. Skręć za kołnierzem w zaułek świeżych chał, a tu pod mankietem, tak niedaleko, sztachnij się mokrym drewnem piątkowych schodów. Ostrożnie wkładaj ręce do kieszeni, kieszeń to kopalnia

wspomnień. Obywatele ubrań zniknęli, wygnano ich z tego kawałka przestrzeni, które nieśli na sobie.

(Płaszcz zapadł się w siebie) Nie oddycham, nie bije we mnie żadne serce.

Opustoszały tracę kształt, tracę pamięć o tym, kim jestem. Złamany tors, ramiona, pogruchotane, spod gruzów wypływa szew, pieni się w talii nadprutą nicią. (Z ironią) Krawiecki Partenon, zbyt wiele wart, by pozwolono mu umrzeć. Zarachowany, wpisany na listę, wysłany w podróż. W fałdach pod pachami dojrzewają larwy motyli.

(Zgrzyt, pisk, pociąg hamuje)

Scena 7

(Breslau. Dworzec Główny. Do wielkiej sali wchodzi kobiety, ubrania skulone zastygły wyczekująco w kącie.

Jedna z kobiet, podchodzi do Płaszcz, podnosi go. Przyglądają się sobie. Kobieta na początek wymierza Płaszczowi kilka solidnych klapsów jak by chciała go ocucić)

Płaszcz: (ironicznie) Alleluja! Alleluja! Rezurekcja już trzeszczy w szwach. Możesz sobie walić, ruda walkirio, proszę bardzo, możesz mnie rozerwać na kawałki.

(Kobieta chwyta Płaszcz , bierze zamach i z całej siły z półobrotu uderza o

żeliwny filar. Płaszcz owija się wokół niego i nie zamierza puścić.

Kobieta delikatnie odwija Płaszcz ze słupa. przygląda się. Unosi połę ale Płaszcz udaje martwego, czarne skrzydło opada. Kobieta próbuje ubrać Płaszcz)

Płaszcz: (stawia opór) Nic z tego, paniusiu, Nie zapniesz mnie!

Ostrzegam z góry: szwów swoich nie odstąpię, bo to jest wszystko co mam!

Własnoręczne świadectwo moralności obrębione przez Krawca skrupulatnym ścięciem!

(Kobieta próbuje wcisnąć się w Płaszcz)

: Posłuchaj: nie zostaliśmy dla siebie stworzeni. Przed tobą była inna, ta, na którą byłem krojony! (Zniecierpliwiony) A poza tym, jestem za mały na ciebie!

(Podchodzi żołnierz w niemieckim mundurze, chwytą Płaszcz za ramiona i trzymają mocno. Kobieta wciska się z trudem w jeden rękaw, Płaszcz tkwi na niej jak czarna monstrualna narośl. Wychodzą.)

Scena 8

(Breslau. Wnętrze pokoju. Płaszcz wisi na wieszaku zaczepionym na drzwiach wielkiej szafy - unosi się nad ziemią jak duch zatrzymany w pół drogi między życiem i śmiercią. „Ruda Walkiria” klęczy przed Płaszczem, wygładza jego połę, ale ta zewnętrzna wciąż się odchyła, odstaje. Im bardziej kobieta usiłuje ją zdyscyplinować, docisnąć - tym bardziej się odchyła.

Kobieta podchodzi do komody i wraca z igłą i grubą nitką w ręce, przyszywa wielki

guzik. Zapina Płaszcz, poły już się nie odchylają. Kobieta jest zadowolona, Płaszcz wklęśł zrezygnowany)

Płaszcz : Ma na imię Irma, jest księgową w fabryce topionego sera. Sera bojowego. Żołnierze na froncie potrzebują go jak amunicji i czołgów. Tak twierdzi. A ja muszę słuchać jej opowieści o epickim smaku ementalera, o serowym Odyseuszu, który wyrusza na wojnę, o próbie ognia, warzeniu w piekielnych kotłach, po którym Odys sam staje się morzem. Słucham z czystej uprzejmości, mazistą substancję od razu uznałem za swojego wroga, lecz guzik mnie to obchodzi. W końcu i tak mam pewność, że nigdy się nie spotkamy.

(Irma stoi przed Płaszczem, z nosem przy kołnierzu, węszy. Właśnie zobaczyła włos długi, czarny wystający z osnowy na moim kołnierzu, przyjrzała mu się dokładnie pod światło, krzywi się, grozi Płaszczowi palcem)

Irma: No, no!

(Kobieta trzyma włos w dwóch palcach i wychodzi, słychać odgłos spuszczonej w toalecie wody)

Płaszcz: Wiedziała, że przed nią była inna, ale nie zadawała pytań. Tutaj nikt o nic nie pyta. Odpowiedzi dawno wyprzedziły pytania, czas toczy się do tyłu, stalowy walec ryje wzór złożony z samych odpowiedzi.

”wy-pruć-wy-pruć- wy-pruć” - dudni deseń.

”wy-pruć-wy-pruć- wy-pruć”, wydrzeć, wyszarpnąć z mieszkań, wagonów tramwajowych, z sal wykładowych, ze sklepów, ławek w parku. Bądźcie czujni! Zwierzęta w ubraniach podszywają się pod ludzi, są wszędzie! Nie dajcie się oszukać, „Klaider machen leute”.

(Irma wraca, bierze z toaletki buteleczkę z zielono-złotą etykietą z wielkim numerem „4711” i mrużąc z dezaprobatą obficie oblewa Płaszcz wodą kolońską.

Potem wyciąga coś z szuflady i podchodzi do Płaszcz)

Płaszcz: (krzyczy) Ani się waż! Nie wolno ci tego robić!

(Kobieta zakłada Płaszczowi opaskę z hakenkreutzem. Prostuje prawy rękaw, unosi go do góry i przygląda się z dumą)

Płaszcz : (z goryczą) Rodzisz się i myślisz, że niczego ci nie brakuje: masz nowiutką podszewką, ręcznie haftowane dziurki do guzików, wszystko na swoim miejscu.

A jednak twoja tożsamość, potwierdzona podwójnym szwem, zaprasowana przez wilgotną szmatę - nagle okazuje się niekompletna! Zawsze coś można dodać, coś w jaskrawym kolorze w widocznym miejscu, na kołnierzu, na plecach, na rękawie

Dopinana pasmanteryjna tożsamość.

(Prostuje rękaw) Od urodzenia taszczyły swoją krawędź, ja, ty - każde ubranie!

Setki koszul, żakietów i płaszczy uwięziono w dzierganych obrąbkach. Na zawsze odcięte od reszty, wydarte z całości niosą swój brzeg. A potem nagle... coś ci

przyszywają, dopinają – i cud! Znika kontur! Zbliżniają się szwy! Kawalki

wieczności rozcięte w sklepie bławatnym na powrót łączą się ze sobą. Czemu? Bo

nie jesteś już płaszczem, żakietem, czy koszulą, tylko tym skrawkiem materiału,

który ci doczepiono. Stoisz razem z innymi, wzmocniony siłą równoległych gestów a nad tobą unosi się pasamoniczny duch czasu. Przeszyty skośnym ścięciem

rozpływasz się unii ubrań, nie ma cię, jest tylko rozpostarte trwanie - jedna materia,

jeden wzór, jedno omdlewające miłosne tekstylium. Jeden wszechogarnający ueber-

mantel!

Na moich plecach ciemnieje jeszcze ślad po gwieździe w kolorze „żydowskożółtym”, tak go nazwano w specjalnym rozporządzeniu, a teraz ta czarna rozeta! (Przygląda się opasce) Wygląda posłusznie zaciśnięty odbyt.

(Irma próbuje założyć Płaszcz, bez powodzenia. Kładzie mu głowę na ramieniu, rękawy owija sobie wokół szyi, zamyka oczy. Mruczy jakieś tango, kołysze się przez chwilę, potem zniechęcona, odsuwa się od niego, człapie w kierunku wielkiej skrzyni, wyjmuje z niej gruby sweter w alpejskie wzory, zakłada z westchnieniem i wychodzi)

Płaszcz: (krzyczy za nią) Nawet bezwarunkowa miłość musi choć trochę trzymać się numeracji!

Scena 9

(Wnętrze pracowni Krawca w jakimś małym mieście)

Płaszcz: Byliśmy „phantasiai“, odbiciem duszy, śladem, który przemijająca anima zostawia w materii, zanim nagiej nie wypędzą jej z ciała.

Krawiec wiedział o duszach wszystko. Znał ich depresje i wypukłości, miejsca wrażliwe i nieczułe zgrubienia. W ciągu tygodnia - no, góra dwóch! - potrafił obszyć każdą duszę w to, czego akurat potrzebowała. Poranionym szył blizny, banitom domy, fortece dla słabych. Ci, co pierzchali we wszystkie strony prosili Krawca o miękkie imadło, które ich ogarnie, przytrzyma. I on kroił im płaszczy, który stawał się upragnioną obręczą, stylistycznym zarysem, dzięki któremu mogli się zobaczyć!

(Stukanie do drzwi, najpierw ciche , potem coraz mocniejsze. Krawiec podchodzi do drzwi)

Krawiec: A tam kto?

Biskup: Ja.

(Krawiec otwiera drzwi przez które szybko wchodzi Biskup)

Biskup:(szepcem) Niech będzie pochwalony... Jezus...

Krawiec:(waha się) No... (macha ręką) Niech będzie.

Biskup: Musisz mi pomóc Aronie! Zbliża się procesja w Boże Ciało. Tam arcybiskup, tam wierni, a TU - wszystko widać!

Krawiec: A próbował ekscelencja złożyć jeszcze jeden ornat?

Biskup:Tak, ale wszystko się zapada, widać jak dłoni!

Musisz to jakoś ukryć, bo co będzie jak wszyscy zobaczą?

Żona Krawca: Aron? Z kim ty rozmawiasz?

Krawiec :Przyjechał pan biskup z miasta, mówi, że wiara się w nim załamała, i czy nie dałoby się jakoś tego ukryć,

Żona Krawca : Znowu?

Biskup: Ciiii! Może byś mnie jakoś usztwywnił, Aronie, od spodu.

Krawiec: (po namyśle) Stelazem z Ezechiela bym umocnił Ekscelencję, bo jego imię znaczy „Bóg siłę daje“!

Biskup: Tak, tak Aronie, to świetny zaiste pomysł! Zrób to szybko.

A ja przez dwie niedziele będę modlić się za ciebie, ale tylko w myślach. Sam rozumiesz.

(Biskup zostawia ornat i wychodzi)

Żona Krawca: (zaspana wchodzi do pracowni) Zapłaci?

Krawiec: Nie, ale będzie się za mnie modlił.

W myślach.

Scena 10

(Huk bomb. Z sufitu sypie się tynk, Irma przerażona pakuje pierzyny i tobołki na dziecięcy wózek. Patrzy na Płaszcz, waha się przez chwilę, podchodzi, ale zaraz się cofa. Wychodzi ciągnąc za sobą dziecięcy wózek. Do tego samego pokoju wpada żołnierz. Szuka czegoś, co mógłby zabrać, demoluje pokój, nagle dostrzega Płaszcz, cofa się przerażony bo Płaszcz z opaską na rękawie, wygląda groźnie. Szturcha go karabinem, podchodzi, ogląda)

Plutonowy Lonia: Moje pierwsze wojenne ciało było niewątpliwe. Tak niewątpliwe, że zdawało mi się zrosnięte z duszą. Dobrze mi było latem w polowej gimnastiorce, a zimą, kiedy spałem skulony w wacianej tielogiejce, kiedy wtulałem się w nią jak w kołdrę, to czułem jakbym kawałek matczynego domu miał na grzbiecie.

(Ponuro) Aż raz się stało, no stało się i tyle! Zstąpiłem z woli własnej do niewoli, duszą i ciałem. Bo na zdjęciu zobaczyłem generała własnego, wysokiego, jak nad wszystkimi się wznosi, i własny generał zaprosił mnie do walki o sprawiedliwość dla własnych. Kto by się oparł?

Najpierw musiałem ciało swoje oczyścić ze znaków i odznaczeń, jakby w czyścucu, a ono, znaczy się, ciało, całkiem od tego oślepiło i oniemiało, więc musiałem założyć mu, znaczy ciału, białą opaskę na rękaw, jak ślepcowi. Po tych czyścicowych mękach

dostałem ciało nowe jak spod igły, a na opasce powyżej łokcia dwie błękitne nici na skos się przecinały a do tego trzy litery: POA.

Tak ucieleśniony pojechałem walczyć z własnymi, bo stałem się tubylcem w ciele wroga. Okrucieństwo swoje zasłaniałem ciałem - uznałem, że kto ubiera ciało, ubiera i duszę. Że człowiek to laminat, ciało i dusza, dwie warstwy sklejone ze sobą, nigdy do siebie nie pasują i trzeba się z tym pogodzić. Że łączy je przypadek i nieszczęśliwy traf.

Raz pomyślałem: „No, przecież to ja mógłbym być tym chłopakiem w wełnianej marynarce, co stoi naprzeciw mnie i gapi się na mój karabin wycelowany prosto w niego.“ I poczułem strach, aż się spociłem ze strachu, bo jeśli dusza jest zdarzeniem, jeśli przydarza się ciału, i nie wybiera, tylko ubiera, co napotka na swojej drodze, i rzuca ją to tu, to tam, to - o mały włos, o małe włókno losu – ja sam, plutonowy Leonid Bojcew stałbym teraz w tej marynarce. I osunąłbym się na ziemię, kiedy ten drugi, ten z błękitnym krzyżem powyżej łokcia, celowałby tak zgrabnie w środek czoła, żeby ubrania nie pobrudzić, a potem zdjąłby z niego, to znaczy ze mnie samego...

(Nie wie, co zrobić z Płaszczem, więc zawiązuje jego rękawy na szyi)

Płaszcz: Od tego myślenia tak się iluminował Lonia-laminat, że postanowił odkupić ciało wraz z duszą. Ciało swoje pociął i zakopał w ziemi, ubrał fufaję i wrócił do swoich. Taki był koniec CIAŁOWĘDROWANIA PLUTONOWEGO BOJCEWA.

(Lonia i Płaszcz biegną przez Miasto. Płaszcz pogania żołnierza połami)

Płaszcz: Iiiiiihaaa! Siedzę duszy na ramieniu. Okrakiem. Jadę na niej na oklep.

Dusza w onucach cwałuje, jest moim koniem ze stalową głową i karabinem,
wojennym wehikułem. Śmierdzi wódką i lazaretem. Biegniemy na wojnę.

Iiiiiihaaaaa!

(Płaszcz rozplata rękawy i unosi się nad ziemią. Leci nad płonącym miastem)

Płaszcz: (krzyczy) Jestem wolny. Frunę! Oto zmartwychwstanie na jakie czekałem!

Tylko ja i Duch Miasta!

Tylko ja i duch! Ciało i Duch! Po co mi dusza, ten marny okrawek, jedno tchnienie
wypożyczone na krótko, które zaraz trzeba oddać! Po co mi dusza, pożyczka na
lichwiarski procent – całe życie spłacasz ją swoim oddechem.

Teraz wypełnia mnie duch Miasta.

W noc przemienienia w dym nasycam włókna miejską teksturą, gęste zaułki Rynku
wypełniają moje rękawy, luźno tkane przedmieścia rozdymają korpus, jestem
natchniony miastem, skręcone w szarą nić wplata się w moje ciało. Epos o
spalonym mieście - to ja. Homer jest opowieścią!

(Lot nie trwa długo, Płaszcz wywija się na drugą stronę jak zepsuty parasol i
zaczyna opadać)

(Płaszcz spada na ziemię, wprost na Krawca. Obejmuje go sobą, wypełnia się Krawcem)

Krawiec: To ty? Ty tu?

Płaszcz :Ja tu! A ty tu też?

Krawiec: Tu,tu!

Płaszcz : Jak to: ty tu? Ty przecież ... tam

Krawiec: Tam... .tam... ja... ty... ty też... tam... tam...

Płaszcz : Wiszę na tobie jak czarny cudzysłów, jakbym obejmował słowo w niepojętym języku.

Krawiec:Tam... (macha ręką)

Płaszcz: Wygladasz jak cytat piekła opieczętowany diabelskim kopytem. Kto cię tak scudzysłowił, Aronie? W składni jakiego świata stałeś się obcy?

Krawiec: One... mówię ci, opuściły swoje miejsca. Były tam gdzie ich wcześniej nie było, zmieniły swoje przeznaczenie, a kiedy one zmieniają swoje przeznaczenie, to przeznaczenie ludzi też się zmienia. Widziałem to! Rzeczy wypadły z orbit i nie były już sobą! W przesuniętych trajektoriach spotwoniały! Orkiestra grała pośrodku sosnowego lasu kwartety Haydna. W rurach zamiast wody płynął gaz, na elektrycznej pięciolinii wisieli martwi ludzie.

Pociąg wykolejał nazwy miast , jedno po drugim, one już nigdy nie odzyskają niewinności. Mówę ci, widziałem jak rzeki wabiły swoje ofiary a potem same tonęły... Widziałem wojenną esktażę rzeczy.

(Milknie, drży)

Ja teraz tu. Tu, tu. Tu...

(Płaszcz owija go rękawami, uspokaja drzenie)

Płaszcz: Ciii... My teraz tu, tylko tu.

Scena 13

(Wrocław. Bar niemleczny Fregata przez dziesiątki lat „przycumowany” był na ulicy Ofiar Oświęcimskich. Takie nazwy barów jak Wodnik, Mewa czy Bosman nie dziwią w mieście przez które przepływa pięć rzek, i które ma port oraz stocznię.

Pokład Fregaty chybotze w słabym świetle, „żeglarze“ poruszają się ostrożnie na szeroko rozstawionych nogach. Wiatr miękko szumi w żaglach: „śmy, śśśśmy”)

Żeglarz 1: Śmy je znaleźli, c'nie!

Żeglarz 2: Zawsze ktoś je znajdował! Najpierw gotowy kawałek wycięty przez odnogi rzeki pasował idealnie, więc uszyto z niego zakonny habitat. Potem kolejne wyspy dopinano mostami. Śródmiejskie rzeki pokrywały się brukiem, jak rzęsą, ich pamięć kamieniała, tylko mgliste wspomnienie wody ciągle unosi się nad ulicami.

Śląwi bez przerwy.

Żeglarz 3: Bez powodu nam się dostało, c'nie!

Żeglarz 2 :No! Wcale-śmy go nie szukali!

Żeglarz 1: Śmy się potknęli o nie...

Żeglarz 3:... albo wybrali z nudów, bo pociąg stał za długo.

Żeglarz 2: Niechcącyśmy nadepnęli i brudna maź z ognia i dymu wylała się

spomiędzy ulic.

Żeglarz 1 : Śmy by woleli, co innego znaleźć. Bardziej białego, suchego. Czy ja wiem: Neapol, Seville...

Żeglarz 2 :... w ostateczności.... Paryż.

Żeglarz 1:W ostateczności!

Żeglarz 1: Ale nikt nie znał celu podróży, t'śmy wzięli, co stało na drodze.

Żeglarz 3 : „Mienie” - c'nie?

Żeglarz 2: Jakie „mienie”?

Żeglarz 3: Takie miękkie coś, co jest we wszystkim, bezbronny glutowaty rdzeń.

Każdy w sobie to ma.

Żeglarz 1: N'co ty? Każdy?

Żeglarz 3 : Ć'mówię, że każdy! Nieważne, człowiek czy zwierzę, dom, miasto, widelec, nawet powietrze! Ze wszystkiego da się wycisnąć mienie Bo na wojnie wszystko, co istnieje, jest tym, co można mieć.

Żeglarz 2 : Mienieśmy wycisnęli, a potem:tu, tu, tu - tutajśmy, a tutając - tupaliśmy, gluta uklepując, utwardzając go pod stopami,

Żeglarz 3: Albo kopniaki mu wymierzając.

Żeglarz 2: Czemu?

Żeglarz 3 :Bośmy gardzili Miastem i śmy je traktowali jak kobietę wroga!

Bo tylko tam, tam, tam było prawdziwe powietrze, prawdziwe zimy, prawdziwe, życie i miasto też prawdziwe!

Żeglarz 1 : Tam - tośmy byli, tam - tośmy mieli!

Żeglarz 2 : Tam - tośmy pili!

Żeglarz 3: Tu glut ślągwisty, rdzeń wyciśnięty z ognia i popiołu!

Żeglarz 1: W tej zawieszynie śmy zamieszkali.

Scena 14

(Krawiec w Płaszczu)

Płaszcz : A ten znak, który nosisz na skórze? (Pokazuje numer na ręce Krawca)

Krawiec : To? (Twarz Krawca rozjaśnia się w uśmiechu) To ja.

Jako numer jestem konieczny i niezastąpiony, nie mogę zniknąć ot tak, bo zostanie po mnie widzialna pustka, jako numer jestem niezbędny, nie można mnie pominąć , udąć, że mnie nie było, zapomnieć. Jako Abram, Aaron, czy Dawid – mogę zniknąć i nikt tego nawet nie zauważy. A jak ma się swój numer pod skórą, to jest porządek. Jesteś liczbą pośród liczb, ani piękny, ani brzydki, cudownie kolejny i - absolutnie nieprzypadkowy! W nieskończonym ciągu, w równym rzędzie, między poprzednim i następnym, i nikt nie powie, że jesteś gorszy, bo czy liczba może być gorsza albo lepsza? A imiona spadają na nas jak woda z kałuży, rodzisz się i nie nie wiesz, co cię obryzga, może się zdarzyć że nazywasz się Abram, Aaron, czy Dawid - i nieszczęście gotowe.

Płaszcz : Wiec po co było to nadawanie imion w Raju?

Krawiec : Och, no wiesz - to była praca, którą Bóg dał Adamowi, bo to było na

początku jak jeszcze budowali obóz i Adam był pierwszym numerem, to myślał, że chodzi o pracę, ale potem jak już zjedli z drzewa i już się dowiedzieli czym jest prawdziwe zło, to wiedzieli, że nie chodzi o pracę, tylko o to, że mają być liczbami. Łatwi do znalezienia, wyłuskania z szeregu...

Płaszcz: Już nie musisz być liczbą, Aronie, wojna się skończyła.

Krawiec : Muszę ! Właśnie teraz ! Bo w liczbach jest zbawienie od pamięci. Liczby niosą cud nieznaczenia. Nie będę pamiętał twarzy, skóry, ani głosu, nie będę niczego pamiętał, bo liczba pamięta tylko to, co było przed nią. I tego następnego, co stał na apelu zaraz po niej. Nie będę musiał pamiętać jego twarzy. Tylko liczbę. Tylko liczbę.

Scena 15

Płaszcz: (do koś na widowni, bardzo osobiście, patrząc w oczy)

Opowiedział mi historię Najmłodszego, a jeśli teraz ją opowiadam, to dlatego, że jest to i moja historia, bo jestem z nią związany nierozzerwalnie aktem rozdarcia. To mogła być i twoja historia, bo nawet kiedy ciebie nie ma w tych wydarzeniach, to jesteś obecny tym, co nie jest tobą, twoją wklęsłością, swoją resztą, tym co nie przypadło tobie - a przypadło innym. Bo z tej samej materii wycięto los i anty-los, którą krawcy nazywają „szmu“. I ten kaleki fragment, pozbawiony sensu i bezużyteczny stał się losem kogoś innego, a ty stałeś się wklęsłym odbiciem tego nie-losu i będziesz musiał nosić w sobie tę nicość, zawsze będziesz do niej przlegał, bo już jest w tobie, bo ty sam jesteś jednym dowodem tamtego kształtu.

Bo następnym razem - ty możesz być tą resztką.

Krawiec: Z tego, co z ciebie zostało uszyłem tę rzecz dla Najmłodszego, żeby ukryć go dobrze, cień który nie zniknie kiedy nadejdzie noc. Każdą wklęsłość do każdej wypukłości przypasowałem, każdy szcząteczek, że okrucuch nawet nie został. Bądźmy wdzięczni rzeczom, które nas chronią!

A potem kazałem mu iść. I nie wracać. I jeszcze tupnąłem na niego, bo nie chciał odejść, chciał zostać razem ze wszystkimi. Więc krzyknąłem na niego i odepchnąłem i.... (Krawiec milknie)...tak! Uderzyłem go i tym uderzeniem wyprawilem go w świat.

A potem sam uszyłem sobie płaszcz, czarny, z najgorszego mitfisu z kołnierzem sztywnym od fiolek które dał mi aptekarz. I dla każdego starczyło, dla żony, i córek i synów, każdemu dawałem szczodrze, rozdzierałem jak chleb wieczorny, sprawiedliwie, dużym większe, małym mniejsze ale i tak potem dodawałem tak dla pewności, na wszelki wypadek, i każdego całowałem, i za rękę prowadziłem w głąb snu...

(Opowieść skowytem ślizga się po strunie głosu, szorują gardło, chrząka, chrypi, wznosi się a potem opada - leci na złamanie karku)

Scena 16

(Buenos Aires. Stacja metra Plaza Miserere, noc. Tłum ubrań próbuje wejść.

Ogromne tencze blokują drzwi)

Tencze: Tylko płaszcze i kapelusze. Tylko płaszcze i kapelusze, buty nie wchodzą,

Buty zostały tam, leżą w barakach, kaci nie weszli w buty ofiar.

(Płaszcz dyskretnie odchyla ją po lewo, pokazując ścieg który dziwnie przypomina drewniane kozły z nawiniętym na nie drutem kolczastym. Jest również Płaszcz)

Płaszcz: (do Jesionki) Co tam masz?

Jesionka : (pokazuje coś niewidzialnego na rękawie) Kroplę denaturatu, na rękawie.

Ona zawsze kupowała denaturat do kuchenki. Pamiętasz:

„Jak ona się męczy,

jak ona się dręczy,

ma oczy pełne łez,

lecz teraz ODŻYŁA

bo sobie kupiła

denaturat i kuchenkę eM-eS“

(do Płaszcz) A ty?

Płaszcz: Przeczesał moje włókna palczastą tyralierą, wywrócił kieszenie, zajrzeli pod podszewkę. Próbowali wycisnąć ze mnie resztki duszy - niczego im nie oddałem. (Pokazuje na kołnierzu) Tu odrobina proszku do mycia twarzy Mimoszela.

(Prostuje rękaw) Łzy w zagięciu łokcia, zrobiły zmarszczkę, nikomu nie udało się jej rozprasować, nie pozwoliłbym na to.

(do Szynela) A ty?

Szynel: Szklana ampułka z trucizną, zaszyta tak mocno, że nie zdążył jej wyjąć.

Płaszcz : Bezludne ubrania. Wyciągamy z oprzędu kawałki dusz, z tego co zostało utkamy je od nowa między połami zapietymi na guziki. urosną w nas, wyprostują nasze zgarbione plecy, wypchają rękawy i torsy, przed północą będziemy pełni.

Szynel: Zobaczcie, kto tam stoi. (Pokazuje na na płaszcz stojący w oddali)

Redingot: To „Huntsman” z Savile Row. London cut. Przeżył?

Szynel: (ironicznie) Nie strzela się do płaszcza za dwa tysiące dolarów.

Jesionka: Szlachetna materia, wytworny krój, przeżyliśmy... Kto by pomyślał?

Nie nasza wina.

Redingot: Tam. Zobacz! W szlafroku! I w ciepłej czapce! Kto go w ogóle wpuścił!

(Podchodzi płaszcz typu Ambasador)

Ambasador: Znałem go... Jeszcze kiedy byłem...tam. Przedawniał dni!

Płaszcz: Przedawniał dni? Jak?

Ambasador: Kopiowym ołówkiem. Opuścił czas teraźniejszy. Co ja mówię: opuścił!

On go zniszczył, rozgniół, rozszurał podeszwami butów a potem usiadł w swoim fotelu i uciekł!

Redingot: Dokąd?

Ambasador: Do przyszłości!

Płaszcz : I zabrał ze sobą fotel, kiedy uciekał?

Ambasador: Fotel, i szlafrok, i ciepłą czapkę - przecież nie mógł uciec do przyszłości bez ciepłej czapki!

(Podjeżdża fotel na kółkach. Szlafrok z zeszytem na kolanach zapisuje coś kopiającym ołówkiem)

Szlafrok: „Nulla die sine linea“. „Każdego dnia choćby zdanie”. Autor to ocalony z opowieści. Jest zawsze po drugiej stronie zakrzywionej linii.

(Zapisuje) „Kiedyś rozbierali nas do naga, strzygli, wpychali do komór, a potem, kiedy już byliśmy martwi, zakładali nam rzemienne paski na ramiona i ciągnęli do...”

Redingot: Mój Boże! Tresuje śmierć kaligrafią!

Szlafrok: Kto daje drugiemu chleb - to nie po to aby go zabić.

(Szlafrok zapisuje to z zeszytu)

Szlafrok: Przed wejściem do wagonu dawali każdemu z nas po bochenku chleba, a z tego wynika - że nie zamierzają nas zabić!

(Tryumfalnie) Tertium Non Datur!!!

Redingot : (przedeźnia go) Nęka nas staroświeckim sensem, nie mogę tego znieść.

(Nagle zapadają mu się plecy, łamią szwy.) Tertium Non Datur? Trzecie Miejsce, niemożliwe do pomyślenia? Zona między „jeśli” i „to”, wyłączony z istnienia środek? Byłem tam... (Redingot szybko odchodzi)

Ambasador: (patrząc za nim) Biedak! Był bardzo związany ze swoją duszą.

Szlafrok: „Nulla die sine linea“. Każdego dnia wypruwam sens. Każdego dnia linea, liniana nic, wymyka się osnowie. Wlecze za sobą pustkę. Jesteśmy śladem po słowach. Pustym traktem. Wyraźnym. Gotowym do opowiedzenia. Nulla. Nulla.

(Odjeżdża)

Ambasador: (Do Płaszcz) Mówią, że Krawiec uszył dla najmłodszego niezwykle płaszcz: niezrywalny, nieporzucalny, prawdziwy przyszyj-jaciel. Kto go założy staje się niewidzialny. Jak Honoriusz Subrac. I ocaleje, bo wygląda jak kawał muru, albo podłogi.

Płaszcz: Bzdura!

Ambasador: Widziałeś go. Co u niego? Szyje?

Płaszcz: Nie chce mu się szyć! Stracił wiarę w ubrania.

Ale w Gminie kazali mu iść do „Przyszłości“. I dali mu adres.

Ambasador: Adres przyszłości? I co? Była tam?

Płaszcz: Pewnie! Dokładnie w tym miejscu. Ulica Ruska, numer 46, wejście od podwórza. Spółdzielnia krawiecka „Przyszłość“. Prasował patki. Narzucał mokrą szmatę i przygniatał żelazkiem tę powiekę, co opada na kieszeń, i kieszeń wygląda jakby spała. Ale nie chcieli Krawca w tej „Przyszłości“.

Ambasador: Czemu?

Płaszcz: Powiekami się zasłaniał, że niby on je przypalał, a te nadpalone nie chciały opadać na kieszeń i udawać, że niczego nie widzą.

Bo kiedy chmura pary wełnistej unosiła się nad deską do prasowania - on siadał okrakiem na tej chmurze i podróżował!

Ambasador: Podróżował? Jak?

Płaszcz: Zwyczajnie! Nosem podróżował. Wdychał destylat wysp spokojnych, jakiejś Australii, Tasmanii, Nowej Zelandii. I opowiadał o górach zielonych, pasterzach, ich żonach i dzieciach. Mówił, że zna ich imiona i wie wszystko o tym, jak tam sobie żyją spokojnie razem. No to go zwolnili.

(Na stację Miserere przyjeżdżają pierwsze ranne pociągi linii A. Szklane kandelabry, eleganckie ławki, Ubrania siadają obok ortalionowych dresów, kurtek ze skaju, sukienek z non-ironu, które, wypełnione sennymi duszami, kiwają się we wszystkie strony)

Płaszcz: (mruczy zde gustowany) Tandetny niesort, lumpex proletariat! Nie znają powinności ubrań, nie podtrzymują głowy opadającej boleśnie na bok, nie chronią przed upadkiem, nie przywiązują się do swoich dusz, nie tęsknią za nimi.

(Zmyka się w sobie) Wydrążony, ostrożnie rozpinam nici między warstwami czarnej gabardyny, gęstniejesz we mnie, nasycasz się istnieniem, już nie okrywam cię, ale odkrywam - twój smak, zapach, barwę, dźwięk, z tego co mi zostawiłaś mogę od nowa utkać cię w swoim łonie. Jesteś tu ze mną, między krańcami materii, ograniczona, skończona.

Znów jestem pełny, jestem powierzchnią, która pochłonęła głębię.

Zapadamy w naftalinowy sen, żeby co rok, na stacji Miserere wspominać utracone dusze.

Scena 17

(Fregata na Ofiar. Krawiec w Płaszczu siedzi przy stoliku, co jakiś czas sięga palcami do głowy i wysnuwa z białych włosów na głowie pasmo, potem je skręca w nic i nawleka na igłę. Do Krawca ustawiała się długa kolejka, stoją chłopcy ze zwierzętami domowymi, robotnicy, inteligenci, arystokraci, każdy trzyma coś, co stara się dyskretnie ukryć)

Krawiec: Szyto-kryto. Taki jest dzisiaj sposób szycia. Na wszelki wypadek wszystko zaszywają, bo nie wiadomo, jak to teraz będzie. Pamięć zaszywają i myśli przedwojenne, i gniew, i strach. Pazuchy wypychają. (Zniża głos do szeptu) A pisarzom tajne dzienniki sterczą.

Płaszcz: Tyle wolności - ile jej w sobie zaszyjesz. Tylko nie wiem, gdzie im się to wszystko mieści?

Krawiec: A najdziwniejsze, że wszyscy udają, że... nic nie zaszyli.

Płaszcz: Przecież widać, jak im się to wypucza, jak wyłazi zewsząd gulami wielkimi. I jacyś tacy wykrzywieni chodzą, bez ludzkiej symetrii.

Krawiec: Bo im kto więcej zaszył, tym bardziej krzywy chodzi.

Ostatnio przyszedł pan Tyrmand...

Płaszcz: On też? I co?

Krawiec: Widzę, że on jakiś taki niewypchany stoi w tej swojej kamizelce z dywetyny, kompletnie nie zaszyty! Pytam go: panie Leopold, czemu pan inaczej niż wszyscy robi? Ja panu gratis pozaszywam, a on mi mówi, że nie, że dziękuje, ale przy ciele lubi się nosić, bo niski jest i tyje, więc niczym się nie będzie wypychał, bo straci kształt.

Płaszcz: Dandys!

Krawiec: A wszyscy teraz na podpinkach żyją, zawsze mają jakiś „wierzch” i „spód”.

Płaszcz: Aż strach, że im już tak zostanie! Że już się nie odegną. Nie wyprostują.

Krawiec: Trudno ocalić duszę w takim ubraniu, co miało pasować na każdego, a tylko uciska. I pije.

Płaszcz: A co, jak wszyscy jednego dnia szwy rozprują? I jak się zaczną wielkie prucie i wyciąganie? I wypadnie, co im w środku siedziało?

Krawiec : No, tego ja wolę nie dożyć! Chociaż... najbardziej to ja się boję czego innego.

Płaszcz: Innego? Czego... innego?

Krawiec: Że jak rozprują, to im ze środka wyleci, nie to, co zaszyli - tylko całkiem na odwrót!

Płaszcz: Na odwrót? Jak?

Krawiec: Kto miłość zaszył - wyjmie nienawiść, a znowu ktoś inny będzie pamiętał, że nadzieję ukrył i żywił ją przez lata, doglądał, pieścił, a teraz mu wyleci zza pazuchy pokurcz jakiś, do siebie nie podobny.

Wypełzną widma uszione w fałdach, zatęchłe, zaszyte w plisach, zasuszone po kieszeniach, pocięte.

Ożyją martwe idee, ale tak popuchłe od nagłej wolności, tak wzdęte, że nikt ich nie rozpozna!

Kto dobrze poszuka to może wypruje z siebie resztki uczciwości, co ją trzymał na lepsze czasy, przesyte podwójnym ścięciem, jak wampir osinowym kołkiem.

Albo i nie wypruje, bo po tylu latach całkiem się pokruszyła, i teraz nie wiadomo, co z tymi okruchami uczciwości zrobić. Jeszcze inni podłoczą za pazuchą namacają i zaczną krzyżeć, że nie wiedzą, skąd się tam wzięła, pewnie im ktoś zaszył jak spali.

A będą i tacy, którzy niczego nie znajdą w płaszczu, choć pamiętają, że przecież kiedyś dużo tam ukryli.

Ale najgorsze...

Płaszcz: Co może być gorsze?

Krawiec: ... jak powyciągają to, czego tam nigdy nie było.

Luna Laski wpruła choć ich wcześniej nie zaszywała.

Płaszcz: Luna? Ta...Luna?

Krawiec: Ona sama! Wypruła Laski.

(Przed Krawcem staje młody człowiek w garniturze, rozpina marynarkę, Płaszcz zagląda do środka jakby czegoś szukał)

Młody: (groźnie) Czegoś mi tu brakuje!

Krawiec:Czego?

Młody: No... tej trzeciej!

Płaszcz: Tak! Tej między spodniami i marynarką.

Młody: Właśnie!

Krawiec: Burżuazyjna hybryda, pół jedwabna, pół nie. Na wskroś nierewolucyjna!

Młody: Czemu?

Krawiec: Z przodu twardo cytowała ortodoksję, ale na plecach... (zniża głos) śliska satyna! Miękka, zawsze gotowa do uległości, i jeszcze ten mały pasek do regulowania, który mówi: można jeszcze odpuścić! Poluzować!Nie dociskać!

Młody: Ale przecież nawet Lenin ją miał!

Krawiec: Ale tylko po to, żeby się o nią kciukiem zaczepić, kiedy patrzył w przyszłość!

Młody: Zniknęła triada skrojona przez Hegla: spodnie-kamizelka-marynarka?

Krawiec: Teraz tylko góra i dół, wróg albo przyjaciel.

Kamizelka to wstydlivy kompromis, burżuazyjna karlica NEP, dwulicowa idea, ze śmieszna kieszonka na zegarek, drobnymi guziczkami, groźna tęsknota za czymś pomiędzy, trzecia droga? Za swoje wahanie, za śliskość pleców, musiała odejść, tylko spodnie i marynarka, tylko tak albo nie, piekło i niebo z nami albo przeciwko nam. Tertium non datur!

(Młody jest jakby za chudy na nowe idee, podtrzymuje „dół”, który wyraźnie mu opada, a i „góra” z wielkimi watowanymi ramionami wygląda groteskowo na jego drobnym ciele)

Młody: Nie dałoby się tego poprawić? Żeby się jakoś trzymało? Bo szablon dobry, tylko wykonanie nie takie... Może tu-u się zbierze, a tam-oo poluzuje, w fałdy poupycha, i jeszcze trochę naciągnie, aż znikną błędy i wypuczenia.

Krawiec : (mruży) Młodzi chcą poprawki zrobić, każdy teraz po swojemu upina, szwy zrywają i pokrętnym ścięciem łączą od nowa, to, co i tak połączyć się nie da.

Jakby dla garbatego szyli.

Scena 18

(Do Fregaty wchodzi Dia-Mat, niegdyś subiekt w sklepie bławatnym, ale teraz już nie w garniturze z miękkiego kaszmiru, ale w skórzanym płaszczu)

Dia-Mat: Ty... tu?

Płaszcz: Tu. A ty co?

Dia-Mat: Ty przecież.... (z wahaniem) tam...

Płaszcz: A teraz tu. I co z tego?

(Dia-Mat wyciąga rękę, żeby dotknąć Płaszcz, słysząc dziwny dźwięk, skrzypienie.

Dia-Mat z wyciągniętą ręką nieruchomieje).

Płaszcz : (zdumiony) Nigdy nie słyszałem ubrania , które skrzypi!

(Obchodzi Dia-Mata, uważnie mu się przygląda. Wącha.)

Gruboskórny, łysy, z małymi otworkami z których jeszcze niedawno wyrastały jasne szczecinowate włosy - i ordynarnie trzeszczy! Zrobiony z całej rodziny: z ojca i syna - twarde plecy, na rękawy wybrano najmłodszych, najmięszszych, żeby nie stawiały oporu przy zginaniu, licznych braci z tego samego miotu, a matka i córki, najlepiej układają się na połach.

Nie uszył go żaden krawiec, ani nawet kuśnierz tylko rymarz z wiecznie pokłutymi palcami. Tam - w miękkich garniturach z kaszmiru, a tu...

Dia-Mat: Tam...(macha ręką jakby ścierał coś z tablicy) nie! Tu Diaaaa-Mat!

Profesor Dia-Mat.

Scena 19

(Wykład profesora Dia-Mata. W szkolnych ławkach, ledwo się w nich mieszcząc siedzą chłoporobotnicy, choć bardziej chłopci niż ci drudzy. Diamat stoi przed nimi , bierze w ręce dwie nici, czarne jak ziemia, i pokazuje, żeby wszyscy widzieli

Dia-Mat: (pokazuje nic w prawej dłoni, a jego płaszcz skrzypieniem utwardza i utwierdza to, co mówi Dia-Mat.) To jest teza!

A to (podnosi lewą dłoń) jest antyteza! Specjalnie dla was idee filozofów pokazuję i można je nawet pomacać.

(Pomruk na sali. Studenci Profesora Dia-Mata nie mają zeszytów ani piór, bo i skąd. Więc podchodzą i dotykają palcami nici, wywiązuje się nawet mała walka o dostęp do idei)

Dia-Mat: Tylko ostrożnie , żeby tezy nie potargać albo tej drugiej, bo to są myśli z głowy, których dotąd nikt na oczy nie widział.

(Z westchnieniem, do widowni) Bo oni tylko to rozumieją, co widać! Niedotykalne nie istnieje, nigdy nie istniało, bo krowa jest zawsze ta ich, z łatą na ogonie, albo od sąsiadów, a nie jakaś krowa Platońska z jaskini! A pożar, ten, co był kiedy się u Maciejów paliło, a czas najbardziej jest dotykalny ze wszystkiego, najbardziej cielisty jest, bo wiosna cieli źrebięciem z mokrym futrem, wynurza się prosiętami i wzdyma brzuchem kobiety. A lato rani stopy ścierniskiem do krwi, a zima wije się między palcami tkanym lnem i konopną nicią, pierzem w nos łaskocze, i drze się nowym dzieciakiem - czas jest najbardziej dotykalny ze wszystkiego na świecie.

(Profesor Dia-Mat splata śliczny skośny prążek)

Dia-Mat: Prążkowana synteza biegnie skosem do góry, posuwa świat do przodu, bo wszystko zrobione jest z postępu. A postęp nieuchronny jest jak amen w pacierzu.

(Studenci Dia-Mata grubymi palcami próbują splatać skośne prążki, męczą się i posapują)

Dia-Mat: (z pogardą)Wy jeszcze prostopadle tkani jesteście, jak worek na „kartofle”, ale robotnicy na całym świecie tkają diagonale. Robotniczy drelich już złapał skos, już wie, już czuje jak go ciągnie do góry!

(Dia-Mat, skrzypiąc idzie wzdłuż ławek i dotyka ze znawstwem ubrań swoich uczniów)

Cajg, cwelich, drelich, od urodzenia gorsza służebna materia o prostackim chwycie. barchany, trypy, felpy, w łykowatej pamięci noszą ostre drzazgi z kory. Pamiętają łodygi roślin, którymi kiedyś byli. Z wierzchu, co prawda, pokryci grzecznym glancem z krochmalu i mydła, w środku zostali twardzi i zadziorni.

Materia zbyt jeszcze surowa, bo Marx myśli swoje wykrawał na angielskie wełny, niemieckie flausze, francuskie pepity, a nie lenny len! Łykowaty, twardy, kompletnie nieświadomiony.

Nie na was skrojono teorię, tylko wam ją narzucono, jak twardą płachtę na stóg siana, więc musicie pracować ile sił!

Dlatego splatajcie przeciwieństwa w skośne prążki, bo waszą bronią jest skos - nie ważne, skąd jesteś, i z czego cię zrobiono! Możesz być kaszmirską wełną, najdroższym jedwabiem - jeśli utkają cię jak wór, jesteś trupem!

(Pomruk przerażenia na sali)

Ale... może się zdarzyć, że jesteś nikim, konopną zdzierą, kłakiem niesionym przez wiatr, zgrzebnym wyczesem - jeśli masz spryt, polot i skośny splot – zaczynasz rządzić światem!

Scena 20

(Fregata na Ofiar. „Żeglarze“ ci sami co poprzednio)

Żeglarz 1 : C'mówię! Fatamorgany dorodne, tłuste wszędzieśmy rozwiesili jak pranie, żeby zasłonić Miasto Znalezione.

A wtedy (rozmarzony) wyraźniemy widzieli kamienicę Czarną, i tę drugą, ze skrzydlatym lwem weneckim nad portalem Massarich, i tramwaj, co zgrzytał na „wykręcie Badeniego“ i wjeżdżał w Łyczakowską ulicę...

Żeglarz 2 :TAM wszystko było prawdziwe... praw...

Żeglarz 3: C'cho! Już to mówiłeś!

Żeglarz 1: Jesteśmy częścią fatamorgany, która przywędrowała nad Miasto i osiadła na nim jak mgła. Żywimy ją opowieściami a ona rośnie, staje się ciężka, ale i tak nigdy nie spada na ziemię tylko wisi w powietrzu.

Żeglarz 2: :N'chyba! Nic się tu miejsca nie trzyma! Do ziemi nie przywiera!

Żeglarz 3: A jak by taką wielgachną igłę wziął, c'nie? Taką do nieba het, het!

Żeglarz 2: I co?

Żeglarz 3: I miasto by przyspilił. Żeby przestało latać w powietrzu, c'nie!

Żeglarz 2: Albo zaprosić sławnych ludzi z całego świata.

Żeglarz 1: I co?

Żeglarz 2 :Bo jak ci sławni już przyjadą...

Żeglarz 1: To co?

Żeglarz 2: Jak tu staną, na tych ziemiach przypadkiem znalezionych, jak je przydepną, jak przygniotą ciężarem swojej sławy - to karta-stół! C'nie!

Scena 21

(Hotel Monopol. Tupot stóp po hotelowym korytarzu, szepty, trzaskanie drzwi.

W pokoju siedzi kobieta i coś pisze. Pukanie do drzwi.)

ZN: Kto tam?

MD: To ja! Maria.

ZN: Jaka Maria?

MD: Maria Dąbrowska!

(Drzwi się otwierają. Pojawia się głowa w charakterystycznej fryzurze)

MD: Jest melanz u Picassa. Idziesz?

ZN: Poczekaj!

(Malując otwarte usta) A o a e?

MD: Co?

ZN: A kto tam jest?

MD: Parę osób.

ZN: Z bezpieki?

MD: Nie! Tych Pablo się już pozbył. Teraz można spokojnie się upić.

Jest Eluard...

ZN: Ach, Paul! Kiedy przed wojną byłam w Paryżu pisał dla mnie wiersze miłosne...

MD: Teraz wyznaje miłość partii komunistycznej.

ZN: I kto jeszcze?

MD: Julian Huxley.

ZN: Nie znam. Czy to ktoś z rodziny Aldousa?

MD: Tak, jego brat. Zajmuje się dzikimi zwierzętami.

ZN: Jest tu bardzo na miejscu.

MD: Jest jeszcze córka Marysi Skłodowskiej - Irene Joliot -Curie.

ZN: Yhy! Jak wyglądam?

MD: Jak zwykle.

ZN: Założę peniuar. Coś mam wziąć? Wezmę koniak. Gruziński, dostałam od...Erenburga.

(Biegną korytarzem. Otwierają drzwi)

Picasso: (tubalnie) A, witam! Przedstawiam państwu, dwie wybitne polskie pisarki, Maria Dąbrowska i Zofia Nałkowska.

(Głosy powitania po francusku i angielsku)

ZN : O, chere Pablo! Dziękujemy za zaproszenie.

(Picasso stoi na środku pokoju)

Picasso: No mówię wam, cyrk prawdziwy! Zebrali się i przemawiają.

Ten pierwszy skrzypi jak wał przy nabieraniu wody z głębokiej studni.

(Pokazuje) Wziął zamach i sznur nawija, monotonnie, bo tchu mu brak. I ciągnie, ciągnie, zdania kawałek po kawałku wyciska, i tylko patrzy, żeby nie stracić tego co już z takim trudem uciągnął, bo myśl z takim mozołem uciągnięta chlapie mu na boki, głos obija się o cembrowinę, no już się wydaje , że upuści co nabrał, ale nie! Udało się! Nie zmarnował się wysiłek przy wyciąganiu słów z kartki.

(Wszyscy zebrani pokładają się ze śmiechu. Ale Picasso jeszcze nie skończył, ucisza gości gestem)

I wtedy wszyscy wstają, biją brawo. Myślę sobie, słusznie się brawa należą temu, co gadał. Ale patrzę, że ten, co gadał, też brawo bije. Komu on bije? Sobie bije? Już mu tamci pobijają! Już mu oni wybijają! – tak pomyślałem, i nawet żal mi się zrobiło tego, co bił sobie, ot, zwykła ludzka próżność była w tym sobiebiciu.

Huxley: Nikt tego nie rozumie lepiej od ciebie.

Picasso: I nagle.....(Zawiesza głos, wszyscy patrzy na niego w oczekiwaniu)

Zro-zu-mia-łem!!!

On przecież nie sobie bije, ale tej pracy, co go przygięła do mównicy! Pracy rąk, Eluard : (już mocno pijany) A potem wyszedł Fadiejew. Ooo! Mówię wam: ten wcale nie ciągnie tylko... (zawiesza głos) październicy!

Mocno cepem wali, łupie ten październik, łupie rytmicznie, żeby tylko sensu odsłonić, tylko gada, ledwie odpaździerzonym, młóci, młóci, lecą na ludzi słowa twarde, ostre jak drzazgi! Ale oni stoją i nic, ani okiem nie mrugną, bo strach, ale jak tylko nikt nie widzi - to je strzasają z siebie.

(Eluard pokazuje jak strząsa z siebie drzazgi, goście się śmieją. Nie śmieje się tylko jedna osoba, o zasmuconej twarzy, dolewająca sobie... herbaty z czajniczka. To Huxley)

Huxley: Czemu nas tu zaprosili?

Picasso: Gdybym był tobą, też bym się zastanawiał (śmieje się tubalnie z własnego dowcipu). Ale wiem, Julianie, czemu zaprosili mnie: bo jestem największym malarzem naszych czasów!

Huxley: Zapewne. I dlatego obsadzili cie w tej żalösnej sztuce, którą tak ładnie przedstawiłeś. Ktoś napisał scenariusz, a ty posłusznie wykonujesz swoją rolę.

Jesteś próżnym błaznem! Dlatego idealnie się nadajesz!

Picasso:(pijany, rzuca się z rykiem na Huxleya, który z imbryczkiem do herbaty i filiżanką w ręce cofa się - mała corrida , można by rzec) Nie wiem, w czym gram, i nic mnie to nie obchodzi! Ja jestem artysta, na polityce się nie znam, tylko maluję!

Irene J-C: (wzdycha) On jest akurat w okresie gołąbkowym i wszędzie tylko gołąbkami s-ha. (Do Zofii Nałkowskiej) Sophie, czy tak się mówi po polsku: sha!.

Mamusia czasem tak mówiła...

ZN: (wrywa jej butelkę z ręki) Irene, nie pij tyle tego, to nie jest wino...

Irene: Na chwilę nie można go zostawić, bo zaraz gołąbka trzeba po nim sprzątać...

Eluard (pijany): Aaaaa ja wiem, czemu tu jestem: mam bronić pokoju.

Huxley: Przed kim?

Eluard: Przed... No.... przed... Zachodem.

Huxley: Sam przed sobą chcesz bronić pokoju?

ZN: Kiedy był jeszcze surrealistą to można go było zrozumieć, ale teraz...

MD: To może sam napisz na siebie donos, sam się zaaresztuj i sam strzel sobie w tył głowy.(Wyciąga zaszyty w ubraniu dziennik i zapisuje coś)

Huxley: Po Fadiejewie wyszedł jeszcze jeden.

Eluard: Ten cały w skórze?

Huxley: Ten który trzeszczał.

Scena 22

(Ogód Zoologiczny, pośrodku stoi wielki, szary SŁOŃ. Obok niego stoi Dia-Mat i

przemawia)

Dia-Mat: Jest symbolem tej ziemi, Bo odzyskany, do macierzy powrócił,
piękny i wielki w majestacie swojej szarości. Choć wychudzony, wyniszczony jak ta
ziemia, słoń ten jest nieugięty i nienaruszalne ma granice. Nasz słoń Piastowy,
któremu po latach niewoli nadaliśmy imię Mieszko!

(Wszyscy bija brawo, słoń stoi, lecz nagle pod wpływem nieznanego impulsu
zaczyna się obracać. Niektórzy z zebranych krzyknęli, inni rzucili się do ucieczki,
bo na drugim boku Słonia wypalony jest wielki krzyż z połamanymi ramionami.

Fadiejew już wyciągnął rewolwer i zamierza strzelić w głowę słonia)

Huxley: (jakby żywcem przeniesiony z poprzedniej sceny trzyma imbryk do herbaty i
filiżankę, rozkłada ręce i zasłania zwierzę) Do słonia nie strzelać!

Fadiejew: Bo co?

Huxley: Bo... bo.... (próbuję coś wymyślić) A co będzie, jak upadnie...

hakenkrojcem do góry? Wtedy żadna siła nie da rady go odwrócić!

Fadiejew: Co innego Dia-Mat. Dia-Mata zastrzelić. (Przykłada mu lufę do głowy)

MD : (szepcem) Wstyd, towarzyszu Fadiejew, przed gośćmi zaproszonymi z
zagranicy, tak oficjalnie do ludzi strzelać.

Wystarczy słoniowi na drugim boku wypalić sierp i młot, i z tej strony patrzeć na
niego. (MD wyciąga zeszyt i coś tam zapisuje)

Słoń: (mówi po francusku) „Ubrania ze skóry... Obrąbek suknie nie szytej... Nie
kalajcie dzieła...”

(Podbiega Picasso)

Picasso: Nie dam słonia tknąć, bo on pięknym swoim służy ludziom, a że na polityce się nie zna, to łatwo go wykorzystać! Chociaż łeb ma wielki!

Huxley: (patrzy na Picassa) Mógł się nie zgodzić, odmówić, boku nie nadstawiać w zamian za dobrą paszę!

Picasso: (Picasso wpija się wzrokiem w Huxleya) Na każdym mogli zostawić piętno swoje diabelskie - na małpie, żółwiu, czy hienie, ale oni tego największego z największych wybrali, bo ogryzki ich nie interesują!

(Picasso wyjmując pędzel i kilkoma ruchami rysuje na słoniu, gołąbka pokoju z gałązką oliwną w dziobie. Wszyscy z westchnieniem ulgi biją brawo)

Scena 23

(Fregata na Ofiar)

Żeglarz 1: Teraz Mieszko stoi tam sobie z prawdziwym pikasem na boku, a ludzie gapią się na niego jak na obraz w muzeum, c'nie!

Żeglarz 2: Słoń jak wiadomo dwustronny jest, jak stanie, tak go widać. Ale co będzie jak się znowu obróci na niemiecką stronę?

Żeglarz 3: Łańcuchem do kraty stoi przytwierdzony.

Żeglarz 2: Ale ludzie i tak patykami go szturchają i krzyczą: pokaż, pokaż, co tam masz na skórze.

Żeglarz 1: Sztuka uratowała mu życie.

Żeglarz 3: F'chujtam uratowała! Muzeum najgłośniejsze w stolicy zamówiło ten fragment słonia. Po śmierci ma on być z Mieszka wycięty i w głównej sali pokazywany.

Ale jak tylko Obrońca Pokoju Picasso wyjechał, od razu słonia obdarli ze skóry. Jak Marsjasza.

Żeglarz 1: Jak kogo?

Żeglarz 3: Marsjasza! Marsjasz był wielkim artystą, ale zadarł z władzą. Kto z władzą zadziera, tego władza obdziera.

Żeglarz 2: A Dia-Mat? Co z nim? Jego też ze skóry obdarli?

Żeglarz 3: Żebyś wiedział!

Żeglarz 2: I już nie trzeszczy?

Żeglarz 1: Nie. Z głowy mu wybili... zęby z głowy wybili. Teraz miękko gada.

Żeglarz 3: No to przejechał się Dia-Mat na tej swojej skórze, c'nie?

Żeglarz 2: W całkiem nową skórę się wcielił.

Żeglarz 3: Zbyt była surowa, dzikości w niej było tyle zwierzęcej...

I te suche trzaski... brzmiały jak elektryczne wyładowania przed grzmotem.

Żeglarz 1: Wiedziałem, że tak się skończy. Ubrania mściwe są!

Żeglarz 3 : Mściwe są.

Scena 24

(Fregata. Płaszcz siedzi przy stoliku z Krawcem w środku)

Krawiec: (ścisza głos) Nikt o tym nie mówi, bo wszyscy się boją! Ale ja ci zdradzę sekret: dusza to przypadek!

On się zwyczajnie zakrztusił, od tego pyłu z którego lepił Adama. Bo wcześniej wszystko robił słowami, jak czarodziej, z daleka, żeby niczego nie dotknąć, bo

jeszcze ręce by sobie pobrudził! Nie ulepił rękami kury czy dziobaka, bo jak by to wyglądało: taki wielki Pan a upaprany jak zwykły garncarz! No ale człowieka, to palcami zachciało mu się popróbować! A nieprzyzwyczajony był, to się rozkaszał wniebogłosy, bo tam strasznie się kurzyło. Wszyscy od razu pomyśleli, że On naumyślnie duszę wetchnął praojcowi, ale ja ci mówię: dusza to błąd, partactwo Płaszcz: I przez setki lat nikt nie się na tym nie poznał?

Krawiec: (zbity z tropu) No wiesz, jak się nie da czegoś ukryć, to trzeba klientowi wmówić , że o to właśnie chodziło! Że to wyjątkowa ozdoba, prawdziwe arcydzieło. Pamiętam jak starszej pani R. przez nieuwagę talię przeciąłem.

Boże, Boże – jęczałem nad stołem - tu kobita w pasie przecięta leży, co robić ?

Ani dokupić materii, ani nic, bo to wełna kaukaska jeszcze sprzed rewolucji, i stałem tak w pracowni, i płakałem, a wtedy żona mówi do mnie: „Aronie, ty tego nie ukrywaj, nie przepraszaj, nie mów, że to błąd - ty zrób z tego brylant! ”

I ja tak zrobiłem, jak ona mi powiedziała, zrobiłem krawiecki brylant w pasie pani R., i nikt o niczym innym nie mówił tylko o tym. Wszyscy mnie podziwiali, a ja się z tego cieszyłem! Ale potem pomyślałem sobie: z czego ty się tak cieszysz! Błąd jest błędem, nawet jeśli nikt tego nie zauważył.

I On też to wiedział, wiedział, że człowiek bez duszy był doskonały, tak jak ty. Z jednej substancji, niez mieszanym, jednolity. Człowiek był płaszczem, a my na chwałę Sartora powtarzać mieliśmy Jego gest krawiecki.

Nie pozwól znowu się wypchać! Dusza to nieszczęśliwe nadzienie! Zniszczy cię, powypycha kluczami, głupimi ideami, strachem, złością... Zniszczy twój kształt i godność, bo sprytna oszustka za wszystko płaci ciałem! Twoim ciałem.

Może być światłem, albo odpryskiem czegoś niezmiernego, może być w oddechu, we krwi, może być zwierzęcą albo boską, ale i tak na koniec unosi się, patrzy na ciebie z góry i odchodzi. Wznoszenie się i odchodzenie, porzucanie, opuszczanie - tylko tyle o nich wiadomo!

Porzuca cię, kiedy zechce, ale, kłamczucha, twierdzi, że to ty ją więzisz!

A jeśli tak, to powiem ci: jesteś więzieniem uwięzionym przez więźnia! Dusza to karcer, który nosisz w środku.

Płaszcz: Mam życie pusty?

Krawiec: Lepiej żebyś się przyzwyczaił do tej pustki w środku, a fasonu i tak nie stracisz. Pamiętaj : tylko ty jesteś wieczny!

Scena 25

(Fregata, ale inny czas i klientela trochę inna, sporo kolorowych ubrań, „żeglarze“ są młodszy. Plecami do widzów siedzi Dia-Mat w marynarce z wielkimi skórzanymi łatami naszytymi na łokciach, bez wątpliwości to pozostałości po skrzypiącym płaszczu. Profesor Dia-Mat nerwowo porusza rękami, skóra na łokciach popiskuje, lecz jest to jedynie żalosne echo dawnych złowrogich trzasków. Dia-Mat wstaje, chwieje się na nogach, podchodzi do stolika przy którym siedzą młodzi ludzie, uśmiecha się szeroko zębami lśnącymi i białymi jak drzwi lodówki)

Gość 1: Profesor! Prosimy! Co pan dzisiaj dla nas ma?

Dia-Mat: Ence-pence, w której ręce? Pompon czy powróż? Dwie formy zniewolenia - do wyboru!

Gość 1: Powróż!

Dia-Mat: (wyciąga z za pleców kawałek sznura) Powróż to niewolnictwo naoczne, widzialne, dotykalne pęta, dobrze ukrecone wrzynają się w skórę, zostawiają ślady na zawsze.

(Podaje młodym ludziom, a ci ze śmiechem oglądają)

Powróż to wynik setek lat ukrecania, każdy skręt to zmiażdżone pokolenia, powróż to przemoc prostacka, prymitywna skręca się w lewo lub w prawo, innych kierunków skręcania nikt dotąd nie wymyślił.

Każda rewolucja obiecuje, że zniszczy powróż.

Obiecuje, że zerwie go, spali, a tymczasem tylko odkręca powróż i skręca go w drugą stronę.

Gość 2: To pompon! Wolimy pompona!

(Profesor wyciąga kolorowy pomponik)

Dia-Mat: Pompon puszysty jest, miękki, miły w dotyku. Miliardy włókien ściśniętych w niewidzialnym centrum, tu na powierzchni faluje swobodnie.

Zabawna, frywolna nie-wolność.

(Rzuca na stół kolorową kulkę, „Żeglarze“ są zachwyceni, podrzucają pomponik)

Dia-Mat : Tam w środku jest węzeł, który wszystko trzyma i nie puszcza. To jest twój strach. Ściśnięty od środka strachem, już nie pamiętasz , że się boisz, bo niby czego, tu na powierzchni nic nie widać, Czujesz się wolny.

To zniewolenie jest najgorzej ze wszystkich, bo nie wiesz, gdzie szukać źródła, gdzie jest ta pętla, która cię trzyma.

Dia-Mat:(krzyczy do kelnerki podnosząc pusty kufel po piwie) Pani kapitan!

Piwaminalej - piwalej!

(Wszyscy podnoszą kufle)

Dia-Mat : Za pompona!

Gość 2: Nie będzie innego życia za naszego życia?

Dia-Mat: Nie będzie.

Gość 2 : To chcemy płynąć dalej naszą Fregatą na Ofiar, gdzie bezból w żagle dmie! Hej,ho!

Kelnerka: (zbiera puste kufle) Odkąd ziemia okrągła jest - od powrotu nie ma ucieczki ! Płacić za dwie kolejki!

Gość 1 : No, polej jeszcze, polej żeglarzom. Dzień mi utknął o tu... (chwytając ją za pierś) pod sercem i mdli.

(Kelnerka bije go na odlew, gość spada pod stół)

Gość 1: (wychodząc spod stołu) Nie rozumiesz, że my w pompona zrobieni musimy pić, za naszą i waszą niewolność... frywolną!?

Gość 2 : Każdy dzień, który właśnie mija, trzeba zamienić w szarą pulpę...

żeby przed świtem bury zacier gładko uwolnić...

(Wymiotuje na stół)

Gość 2: ... miejsce zrobić dla nowego dnia, który nadejdzie!

Bo nie będzie żadnego życia, za naszego życia!

Kelnerka: Wypierdalać mi stąd! (Do Dia-Mata) A ty wracaj do stolika! I zabieraj te swoje śmieci!

Dia-Mat (odchodzi do swojego stolika chwiejąc się na nogach): (urazony) Śmieci!

(Z pogardą) Arrasów jej się zachciewa! Ale kto by dzisiaj miał czas i cierpliwość arrasy Heglowskie na całą ścianę tkać! No i gdzie to powiesić?

Dzisiaj tylko tasiemki Nietschego, skrawki drobno pocięte, między jednym bólem głowy a drugim, między kołysaniem a upadkiem, między śmiercią a zmartwychwstaniem.

Wielkie tkanice tylko uciskają rzeczywistość. Matka Materia już wydała na świat bardziej elastyczne pokolenie. Ponowoczesny poliamid!

Wieczna młodość bez zmarszczek. Sssspandex! Dobrze się naciąga, dokładnie opina rzeczywistość, lecz wcale jej nie męczy. (Dia-Mat kiwa się sennie) Nie stawia oporu, nie wymusza kształtu. Nie przepuszcza powietrza...(Profesor zasypia na krześle)

Scena 26

(Fregata, Krawiec w Płaszczu siedzą przy stoliku w kącie.

Krawiec dotyka swojej chudej szyi, jakby to był gryf skrzypiec, szuka napiętej cięciwy pod skórą szyi, wyłuskuje struny palcami. Za każdym dotknięciem z jego ust wydobywa się cichy skowyt.)

Krawiec: Musi tu gdzieś być. Muszę je znaleźć.

On nie rozumiał... dlaczego musi odejść.

A ja... wiesz... mocno go uderzyłem, mocno i gniewnie, i kazałem mu iść!

Odszedł parę kroków, odwrócił się i patrzył na mnie. Zasłonił się ramieniem, żeby nie dosięgła go moja pięść. Nie rozumiał. Patrzył na mnie i chciał zrozumieć mój

gniew, i to uderzenie. Tak samo patrzył Izaak na Abrahama kiedy ten układał go na całopalnym stosie. A ja nie umiałem mu powiedzieć. Nie potrafiłem wyjaśnić ... głosem. Bo głos zawsze chce pojąć sens, a jak go pojmie, to wydziera się z ciała na całe gardło i oznajmia, że albo tak albo nie, i nic innego nie jest możliwe. Tertium non datur.

(Krawiec dźga nożem skórę szyi.)

Dlatego trzeba tylko zniszczyć głos...

Płaszcz: Czemu chcesz zniszczyć głos?

Krawiec: Wokół głosu zawsze owija się jakiś sens! Wkręca się w głos i nie można go z niego wyrwać! Nawet kiedy brakuje słów – zostaje ton, i każdy od razu go rozumie. A kiedy i ton znika, i zostaje tylko skowyt - to skowyt też wyskoczył swój sens.

Skowyt to prawdziwy mistrz. Dlatego trzeba zniszczyć głos, zerwać struny, wypruć z ciała niepotrzebną fastrygę! Przecież to tylko kawał ścięgna!

Płaszcz: A kiedy już nie będzie głosu ? Co zostanie?

Krawiec: Sedno. Nieme sedno. Wiesz, on tam wcale nie płacze, tylko odchodzi, bo już rozumie. Bo w tym miejscu bez głosu wszystko jest jasne, i on już wie, że odpycha się najbardziej ukochanego, bo ocalenie jest ofiarą złożoną umarłym, a śmierć to dar, który odejmujesz sobie od ust, bo nie starcza dla wszystkich, On już rozumie, że łatwo jest umrzeć za kogoś, a najtrudniej przeżyć... za niego...

(Ostatnie dźwięczenie, z ust Krawca nie wydobywa się już żaden dźwięk, Krawiec znika. Płaszcz jest pusty.)

(Płaszcz wstaje od stolika, kieruje się do wyjścia z Fregaty. Dia-Mat przechodzi obok Płaszcz, chwytając Płaszcz za klapy)

Płaszcz: Czego chcesz?

Dia-Mat: Myślisz, że jesteś ode mnie lepszy, co? Bo nie odwrócili cię na drugą stronę!

Płaszcz: Odczep się, Dia-Mat! Ja nie mam drugiej strony! Po obu stronach jestem dokładnie taki sam! Dobrze o tym wiesz.

Dia-Mat: (nagle zaczyna płakać) Myślałem: trzeba jakoś żyć, tak czy wspaniale! Bo nie będzie innego życia za naszego życia. Jak mówił nieśmiertelny Szekspir: „There is no other shelter hereabout“.

(Dia-Mat próbuje wcisnąć się w Płaszcz, w jego rękawy, szarpie, naciąga, ale Płaszcz jest jak skała)

Dia-Mat: Mógłbyś się trochę naciągnąć albo skurczyć, gdybyś tylko zechciał,

Płaszcz: Nic z tego, Dia-Mat, nie zapniesz mnie! Moje szwy są sumienne, więc będę się ich trzymał. Nie musiały się z nimi układać.

Dia-Mat: Układać się ze złem czy odpuścić? Krawieckim unde malum!

(Krzyczy) Ugiąć się, zgiąć, luźno puścić i w zagięciu materii ocalić co nasze, za każdą cenę, o cenę się certolić!

Płaszcz: Uciąć, ostro i zdecydowanie! Na każdą fałdę odpowiedzieć kontrafałdą!

Dia-Mat: A jeśli zło nie zaczyna się grubiańską fałdą, tylko niewidzialnym falowaniem powierzchni? Jak odnaleźć tę pierwszą zmarszczkę, jak ją rozpoznać?

Płaszcz: Wystarczy jedno spojrzenie, żeby zobaczyć! Zło to skaza! Błąd tkacki.

Wyraźne zakłócenie porządku. Dlatego trzeba od razu... natychmiast... zatrzymać maszynę! Zniszczyć błąd, spruć - i zacząć wszystko od nowa!

Dia-Mat: A jeśli... zło wcale nie jest skazą, tylko wzorem? Deseniem wplecionym w świat? Co wtedy? Opór czy unik? Ciąć czy drapować?

Płaszcz: Odczep się Dia-Mat! Takich jak ty można przyciąć w nieforemne monstra, ale nie mnie - to kwestia niezłomnego kroju.

Dia-Mat: Nie rozumiesz? Wkręcono mnie w powrót historii!

Ocal mnie! Ocal całością, bo słaby jestem, miękki!

Będiesz moim rusztowaniem, opleciesz mnie a ja oprę się na tobie i wstanę!

Będziesz twardy jak pancierz. Podniesiesz mnie, wyprostujesz, od nowa wszyjesz w życie, jesteś przecież pustą łupiną.

Płaszcz: Będę żył bez duszy. Mam wszystko czego mi potrzeba, zobacz Dia-Mat (odwraca się tyłem): moja ojczyzna to płaszczyna pleców! A to moja religia: święto stawiania kołnierza, triduum kieszeni, patki i rękawa, jom kipur rozdarcia, rozcięcia, i wygnania z nieskonczoności.

(Dia-Mat wściekły nie chce puścić, przywiera do Płaszcza. Płaszcz napina się, wewnętrzny skurcz wypycha Dia-Mata i chlusta nim o podłogę.)

Dia-Mat: (leżąc) Ty łachu! – jeszcze pożałujesz! Nie będzie innego życia za naszego życia!

Płaszcz: (Patrząc na Dia-Mata z góry, wygładza klapy kołnierza, szwy i poły)

Trudno! Od dziś będę prowadził „żywot ironiczny“ jak Mikołaj Stawrogin: do niczego nie będę przylegał! Będę odstawał! Od wszystkiego! Wolny i niezawisły!

Książę niezmięty.

(Płaszcz wychodzi z „Fregaty“)

Scena 28

(Noc. Jedna z pięciu rzek, które płyną przez Wrocław, powiedzmy Oława, na wysokości Żabiej Kładki. Płaszcz siedzi brzegu, zapadł się, skulił, „zatrzasnął w sobie” . Ktoś przysiadła się do Płaszcz. Dziewczyna.)

Dziewczyna: Palisz?

Płaszcz: Pewnie! Mam swoje nałogi, jak każdy normalny płaszcz.

(Dziewczyna zapala papierosa, zaciąga się nim, potem przykłada usta do pleców Płaszcz i wdmuchuje dym w materię. Płaszcz lekko rozdyma tors, mruczy zadowolony, a potem dziurkami od guzików wypuszcza dym.)

Dziewczyna: Palenie to Boski przywilej, jeden z niewielu, którymi się z nami podzielił.

Płaszcz :On pali?

Dziewczyna: Bez przerwy! Odpala jednego od drugiego.

Płaszcz : Czemu?

Dziewczyna: Żeby nas poczuć w sobie! Mocno się nami zaciągnąć, smakować nas, odurzyć się nami aż do zawrotu głowy. W końcu, po to nas sobie zrobił. Lubi patrzeć jak ognista krawędź przesuwa się wzdłuż naszych ciał, jak się spalamy, jak pochłania nas żar. A my tlimy się powoli, a potem gaśniemy niezauważenie.

Płaszcz: Dusza mówiła mi o tym.

Dziewczyna: Dusza?

Płaszcz: Ada, Adusza, dla przyjaciół po prostu Dusza. Ta, na którą byłem krojony.

Dziewczyna: Co się z nią stało?

Płaszcz: On ... sztachnął się nią, mocno, aż zakręciło mu się w głowie! Wypalił ją jednym haustem do końca. Potem strzepnął popiół i ...

Dziewczyna: Mógł się od tego źle poczuć.

Płaszcz: Mam nadzieję, że umarł.

Dziewczyna: Skąd się tu wziąłeś?

(Zapada cisza)

Płaszcz: Jestem dzieckiem Upadku, bratem Śmierci.

Nagość i nieśmiertelność wykluczyły nas z Raju. Czekaliśmy po drugiej stronie muru, na piaszczystej ziemi. Ja schroniłem się zwierzęcych skórach i sierści. Brat miał słabość do jadu węży i ostrych kamieni.

Dziewczyna: Na co czekaliście?

Płaszcz : Czekaliśmy, aż tamci wyjdą.

Dziewczyna: Mogli nie wyjść.

Płaszcz: Żartujesz! Kiedy już wyszli powitaliśmy ich z radością, chociaż oni nie cieszyli się tak bardzo. Wiedzieli, że nigdy ich nie opuścimy.

Dziewczyna : Śmierć i ubranie? Nie jesteście do siebie podobni.

Płaszcz: Brat mówi, że nic nas nie łączy, „ Ostatni krzyk“, to nie „ ostatnie tchnienie“! W moim świecie nic nie umiera tylko wychodzi z mody, pożądanie które zszywa mnie z duszą, jest tym, co nas rozdzieli , kiedy pojawi się nowy fason.

Sezonowa śmierć budzi euforię, oznacza początek czegoś nowego, ludzie nie mogą się jej doczekać.

Brat mówi, że jestem śmieszny, że moje dylematy są amoralne: wąskie klapy czy szerokie? Flausz czy moleskin? Pomarańczowy, a może amarant?

Dziewczyna:(wybuchła śmiechem) Chyba ma rację!

(Zapada cisza)

Dziewczyna: Nie chciałam cię obrazić, przepraszam.

Płaszcz: I wtedy zadałem mu to pytanie : czemu nie wonne smugi ziół, które uprawiał Kain, tylko smród skwierczącego tłuszczu z pierwotnych jagniąt ?

Dziewczyna: Mówią: „Pan wejrzał na Abła i na jego ofiarę, a na Kaina i jego ofiarę nie chciał patrzeć.“

Płaszcz : Właśnie! Czemu dymna wstążka Abła, ta z ofiarnego tłuszczu?

Biedny, głupi Kain! Nie wiedział, że istnieje miłość, która wybiera i nie umie wyjaśnić – dlaczego?

Zapragnął i on tej siwej wstążki, która strzela prosto w niebo. Wstążki Abła. Chciał tego, co ma Abel, którego imię znaczy: „pustka, czczość“.

Głupi Kain, niczego nie rozumiał, nie miał wycucia stylu Pana Naszego: odrzuć, wygnaj! I nigdy nie mów: dlaczego? Nasz Pan ogłasza swoje wyroki z nieprzeniknionym okrucieństwem, więc o nic nie pytaj, tylko zaraz się podobieństwem, zaraźliwie podobieństwo przynosi ulgę i zbrodnię. Wtedy będziesz oglądał swego Stwórcę, połyskujące odcienie jego szat. Płaszcz, w który ubrał się Król ma nieskończoną ilość odcieni, kolorów, form i szczegółów bo Ukryty wybiera sobie za każdym razem inną materię, inny krój, inny krój i fason cierpienia. A potem wszystko odrzuca i niszczy. On nie może tego zatrzymać.

Dziewczyna: A ty i twój brat?

Płaszcz: Nasze drogi się rozeszły. Odgradziliśmy nasze królestwa. Myślałem, że już nigdy się nie spotkamy.

Ale on czekał na mnie.

Na końcu ślepych torów pośrodku młodego lasu...Zabrał mi Duszę, a mnie wysłał w podróż. Tak się tu znalazłem.

(Zapada milczenie)

Dziewczyna:Chodźmy stąd!

(Oboje się podnoszą się)

Dziewczyna : Lubisz kawę?

(Płaszcz zdzwiony)

Płaszcz: Masz kawę?

Dziewczyna: Nie, ale wiem gdzie jest.

Płaszcz : Nocą w tym mieście nigdzie nie można napić się kawy!

Dziewczyna : Jest takie jedno miejsce. Chodź!

(Dziewczyna wsuwa się w Płaszcz a ten rozwija poły jak wielkie skrzydła)

Płaszcz: (wyraźnie się ożywia) Kawa na początku. Byłem pustkowiec, ciemnością i bezmiarem, a Krawiec unosił się nade mną i rozpostartymi rękami i nagle... gwałtownie odsunął się od stołu. Postanowił skupić się w sobie! Zbliżył kubek z kawą do ust, zrobił głęboki wdech - „cimcum“! Usłyszałem siorbnięcie i zadudniło serce mojego stwórcy, czarny aromat wzbił się wilgotnym obłokiem z jego ust. Budziłem się do życia – już nie byłem rozwlekłą płaską równiną, teraz łączyłem się z tym

tchnieniem, poddawałem jego mocy, chłonałem każdym włóknem gabardynową czerń kawy.

On pewną ręką rozcinał moje ciało nożyczkami - dzielenie chaosu na sensowne kawałki to nie w kij dmuchał!

Potem zrobił trzy kroki do tyłu, spojrzał na mnie i widział już, że byłem dobry.

Scena 29

(Płaszcz i Dziewczyna biegną unosząc się odrobinę nad ziemią, ale czubki butów Dziewczyny dotykają ulicy. Tekstura powierzchni jest wyraźna: przedwojenne granitowe krawężniki, plamy asfaltu , betonowe popękane płytki , tory tramwajowe kończą się pośrodku jezdni - wszystkie czasy i miejsca na jednej powierzchni, uliczny „postmodernizm“)

Płaszcz: A ty? Skąd się tu wzięłaś? Z miasta znalezionego czy z fatamorgany ?

(Dziewczyna się zastanawia)

Dziewczyna: Ci, co znaleźli Miasto zastali tutaj same „obce słowa“, na wpół spalone i połamane. Nie mieli pojęcia, co z nimi zrobić, ale musieli jakoś żyć, więc to, co zostało związali własną gramatyką przywiezioną z daleka. Jak sznurkiem. Tak powstała Kreolia.

Płaszcz: Ze sznurka i gruzu?

Dziewczyna: Ze słów pokonanych i wrogich i ze znajomej składni przywiezionej pociągiem.

Tylko, że, wiesz, w Kreolii wciąż wszystko się rozłaziło. Sznurek nie trzymał dobrze,

słowa wypadały ze składni. Albo na odwrót: upchnięte byle jak w jednym miejscu wybrzuszały się w nieznane dotąd znaczenia. Widzisz te góry pośrodku miasta?

To „Monte Klamote”.

Usypane z resztek cudzego życia. Kiedy padał deszcz i zmywał ziemię ze górskich stoków, ukazywały się słowa: „Lebe Gluekligh” czy „Zum Geburtstag”, „C.Kipke Braurei. Breslau 1844”.

Ci, co znaleźli miasto odwracali wzrok, nie chcieli widzieć słów, które objawiają góry. Ale ich dzieci... to już inna sprawa. One urodziły się w Kreolii, bawiły się kawałkami obcych słów, zjeżdżały na sankach z Monte Klamote, i uznały, że taki właśnie jest świat: zawsze niekompletny, niedopasowany i wyszczerbiony.

Z początku próbowały zadawać pytania:

(Podnosi dwa palce do góry jak grzeczna uczennica)

Czemu nasza historia zawsze toczy się gdzie indziej?

Czy mogę być dumna z miasta w którym mieszkam? Bo mój dziadek mówi, że mi nie wolno, a ja (płaczliwie) tak bardzo chciałabym być z czegoś dumna.

Płaszcz: Konopna gramatyka to za mało?

Dziewczyna : Za mało. Szukałam gęstości, solidnej opowieści, która związałaby ten absurdalny szczerbaty byt.

Ale jedyna gęsta rzecz jakiej tu nigdy nie brakowało – to była cisza. Klei się do wszystkiego jak rzeczna wilgoć.

(Na słowo „wilgoć“ Dziewczyną i Płaszczem wstrząsa dreszcz)

Dziewczyna : Silentia, Silesia.

Scena 30

Przed nimi na trotuarze żeliwny kwadrat winkrustowany w bruk z napisem „GAS”.

Ale obok prawie identyczny z napisem „GAZ“. Przystają.)



Płaszcz: Co to jest? Wygląda jak błąd ortograficzny.

Dziewczyna: Każde z tych słów mówi do drugiego: jesteś błędem! Nie, to ty jesteś błędem! Całe miasto wynika z niemego uchybienia ortografii, bo tej z różnicy nie da się usłyszeć ani wypowiedzieć.

Ale między słowami, które brzmią tak samo, chociaż inaczej wyglądają, jest

Trzecie Miejsce, w którym nie musisz wiedzieć, co jest prawdziwe, a co nie. Nie pytasz co jest twoje a co nie-twoje, bo nie przywłaszczasz sobie powietrza, drzew ani miast – nic nie jest mieniem, a ty niczego nie możesz mieć. Jesteś rodowitym obcym, przywiązany i oderwany.

Urodziłam się w rozsunięciu między żeliwnymi znakami.

A to jest moja opowieść o mieście: składa się tylko z jednej litery - tej, której nie słychać.

Płaszcz: Ale za to jest solidna. Żeliwna.

(Oboje wybuchają śmiechem)

Scena 31

(Przed Płaszczem i Dziewczyną pojawia się szara bryła Dworca Głównego.

Dworzec spowity jest w zapach kawy i świeżych pączków – ten zapach należy rozpylić na widowni aby zachować olfaktologiczny realizm)

Dziewczyna: Jesteśmy na miejscu. Tylko tutaj nocą można napić się kawy.

(Dziewczyna zdejmuje Płaszcz, ale on na chwilę przytrzymuje ją rękawami)

Płaszcz: A co z nami?

Dziewczyna: Muszę iść.

Płaszcz: Zostań!

Dziewczyna: Nie mogę.

Płaszcz: Krawiec mnie ostrzegął. Odchodzicie, kiedy chcecie i guzik was obchodzi, co się z nami stanie! Nie podobam ci się? Mogę się dopasować! Żaden pasiasty deseń nie skazuje mnie na los obicia. Żaden kwiatowy tik, konstelacja kraciastych

nawyków, nie mówią o moim przeznaczeniu – mogą być wszystkim.

(Dziewczyna uwalnia się z jego ramion i odchodzi skacząc między żeliwnymi płytkami napisem „Gas” i „Gaz”. Płaszcz odchodzi w kierunku holu dworca)

Scena 32

(Dworzec Główny. W wielkim holu śpią bezdomni, wtuleni we własne ubrania.

Płaszcz siada obok nich)

Płaszcz: Dusza jest nomadą. Osiedla się we mnie na chwilę. Na chwilę unosi mnie nad ziemią a potem odchodzi, rozszarpuje powierzchnię, porzuca wymotyłony kokon.

Dusza jest zdarzeniem , przytrafia się, przychodzi i odchodzi.

Nasiąkam dniami o rozmytym konturze, ich kolejność nie jest oczywista, siedmiostrunny czas rozplótł się najpierw trzy kolejne piątki skleiły się ze sobą, i stały się wielkim piątkiem, grubym jak powróż. Czwartek niezrozumiałą nicią podszyty był niedzielą sprzed dwóch lat więc zrobił się garb, czas się wybrzuszył, i to w miejscu tak widocznym jak niedziela. Krawiec wiedziałby na pewno, co zrobić z wybrzuszonym czasem.

Chciałbym powierzyć mu swoje życie, on rozłożyłby mnie na wielkim stole i pochylił się nade mną jak doktor Tulp na zwłokami, ale ja nie byłbym już możliwością, czas przeszły poraniony, nieodwracalnie przykrojony pamięcią zamienił mnie w płaszcz po przejściach. Wiesz co? – powiedziałbym - Ja nie mogę tego dłużej nieść, więc wytnij, co lepsze kawałki, przerób życie, zrób mi coś ładnego, a resztę spal, jak kiedyś szmu.

Wytrzewiony, pusty - zmyślam, co innego mógłbym robić.

(Przedrzeźnia Subiekta) „Wszechświat, który cię stworzył, wynagrodzi cię wyobraźnią. Żebyś sobie radził z drobnymi usterkami“

Czas owinięty zmyśleniem staje się uległy, mięknie, można ugnieść go jak filc.

Znów jestem belą materiału w sklepie, między mną a moim istnieniem rozsnuła się nieskończona przestrzeń: ani życie ani śmierć. Trzecie Miejsce. Prowizoryczna rzeczywistość, której znakiem jest pauza i wstrzymany oddech.

Czekam na słowa, które sprawią, że zostanę zmierzony i policzony. Subjekt wyłuska mnie z równego szeregu na trzeciej półce od góry, rzuci na ladę i wtedy: pach-pach- pach! Rozwinę się, rozleję czarnym strumieniem, a Ty pochyłisz się, zanurzysz we mnie dłonie i powiesz: „Burza znowu nadchodzi! Nie ma tu innego schronienia. Oto jest ten, którego szukałam!

(Płaszcz „odlatuje“ we wspomnienie)

Leżę rozpostarty, napinam się, wyginam, faluję, bezwstydnie uwodzę Twoje palce. Mogę być wszystkim, czego zapragniesz, zmieniam krajobrazy, mogę być czarnym piaskiem, wodą, nocnym niebem. Popatrz! Wszystkie możliwości skupiły się we mnie - pękam od form. Przelewam się Twoich w dłoniach. Schwytałem Twój dotyk, uwięziłem go, zatrzasnąłem w sobie. I teraz krąży w moim ciele.

(Kilku bezdomnych obudziło się i patrzy ze zdumieniem na to, co dzieje się z Płaszczem. Obmacują go, przeszukują kieszenie. Płaszcz szybko wstaje i odchodzi)

Scena 33

(Megafon bełkocze coś o pociągach, które się spóźniają. Płaszcz idzie na peron.

Na peronie tłum ludzi. Jest i Ada, Adusza, albo po prostu Dusza. Ma na sobie czarny gabardynowy płaszcz. Ludzie ustawiają się w kolejce, zdejmują ubrania, zostawiają bagaże. Ada staje przez stosem opuszczonych ubrań. Zdejmuje płaszcz, trzyma go za ramiona, długo mu się przygląda, a potem delikatnie kładzie go na stosie innych ubrań. Biała, naga, zawstydzona swoją nagością zasłania rękami piersi i łono, jakby ubierała się we własne ręce . Odwraca się, idzie wzdłuż peronu)

Płaszcz: (krzyczy) Odwróć się, spójrz na mnie!

Jestem Kalibanem, czarną kanciastą rzeczą, twoim domem, ruchomą fortecą!

Czarnym awatarem, który ożywa każdego dnia.

(Dusza zatrzymuje się i odwraca)

Tak! Wsuń się na powrót w moje ciało a ja obejmę twoją talię, piersi, biodra, twój oddech, stanie się moim oddechem. I będzie biło we mnie twoje serce. Jeszcze nie jest za późno! Wdziej się we mnie ! A wdziana – dziej się we mnie!

(Dusza razem z innymi nagimi ludźmi schodzi do tunelu dworca.

Scena 34

Opustoszały peron. Płaszcz siedzi sam na ławce.

Nadjeżdża pociąg z napisem Plaza Miserere, Buenos Aires. Pociąg pełen jest Ubrań.

Płaszcz wsiada, pociąg odjeżdża)

KONIEC